LIRA
WYDAWNICTWO

MAJA VAN STRAATEN

Stylowy kryminał z humorem!

FRANIA TAŃSKA i ŚMIERĆ NA WIŚLE

Wiślany rejs
i strzały na pokładzie
luksusowego
parowca

FRANIA TAŃSKA i ŚMIERĆ NA WIŚLE

MAJA VAN STRAATEN

FRANIA TAŃSKA i ŚMIERĆ NA WIŚLE

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2025
ISBN: 978-83-68577-04-4

Rozkład rejsów
Linia Gdańska

KM	Przystań	Godzina
441	Gdańsk	10.00
393	Tczew	Przypływa 14.10 Odpływa 15.30
373	Piekło	17.20
361	Gniew	18.20
350	Opalenie	19.20
337	Nowe	20.20
320	Grudziądz	Przypływa 22.00 Odpływa 23.00
297	Chełmno	1.00
261	Fordon	Przypływa 4.20 Odpływa 4.30
220	Toruń	Przypływa 8.00 Odpływa 15.00
215	Złotoryja	15.40
206	Silno	16.40
199	Ciechocinek	17.30
189	Nieszawa	18.30
182	Bobrowniki	19:20

KM	Przystań	Godzina
165	Włocławek	Przypływa 21.00 Odpływa 23.00
148	Dobrzyń	1.10
136	Duninów	2.10
119	Płock	Przypływa 4.30 Odpływa 6.00
107	Dobrzyków	7.10
94	Świniary	8.30
92	Kępa Polska	8.50
86	Pieczyska	9.30
71	Wyszogród	11.10
64	Czerwińsk	11.50
56	Wychódźc	12.40
48	Leoncin	13.30
42	Zakroczym	14.10
32	Modlin	15.10
0	Warszawa	19.00

Prolog

Przystań parostatków w Ciechocinku, czwartek, 30 lipca 1925 roku

Telesfor Studzienko, kapitan salonowego parostatku „Polonia", zerknął na zegarek. Była siedemnasta dwadzieścia trzy. Doskonale. Przybili do Ciechocinka całe siedem minut przed czasem. Studzienko schował zegarek do kieszonki i się wyprostował. Złote guziki jego munduru błysnęły w słońcu, kiedy skinął na dwóch marynarzy. Zsunęli wąski trap na przystań, na której w największym porządku złożone były bagaże i przesyłki.

Pasażerowie oczekujący na przybycie „Polonii", dotąd rozproszeni po piaszczystym brzegu Wisły, poczęli powoli schodzić się w stronę statku. Uwagę kapitana zwrócił wysoki mężczyzna o ciemnych włosach z chartem na smyczy i towarzyszące mu trzy kobiety. Była to roześmiana i głośno dokazująca kompania.

Kuracjusze z Ciechocinka — pomyślał Telesfor Studzienko i sięgnął do kieszeni marynarki. Ponieważ wzrok miał już nie tak mocny jak kiedyś, a okulary wciąż gubił, wyciągnął notes na długość ramienia

i zmrużył oczy. Miał tu starannie wykaligrafowaną listę pasażerów. Czerwonym ołówkiem podkreślono nazwiska tych, których należało otoczyć szczególną atencją z racji urodzenia, koneksji tudzież powagi urzędu, który reprezentowali. Studzienko wiedział więc, że na pokład w Ciechocinku mieli wsiąść powinowata pana ministra Hardta, niejaka Franciszka Eleonora Tańska, oraz aktor Walenty Kop. Nazwisko tego drugiego kapitan Studzienko sam sobie podkreślił na czerwono. Sekretarka Zjednoczonego Warszawskiego Towarzystwa Transportu i Żeglugi Polskiej, która przekazała kapitanowi w Gdańsku listę pasażerów, nie uznała bowiem Kopa za ważną figurę. Może i był to aktor drugiej kategorii, ale Studzienko chciał go poznać i liczył na dłuższą rozmowę w trakcie rejsu do Warszawy. X Muza robiła na nim elektryzujące wrażenie. Prenumerował „Kinema: Niezależne Polskie Czasopismo Kinematograficzne", a kiedy tylko miał wolne popołudnie, chodził do kinematografów. Bywało, że oglądał i trzy filmy z rzędu. Walentego Kopa kojarzył i darzył pewną nawet sympatią, gdyż ten grywał w produkcjach, które szczególnie przemawiały do wyobraźni kapitana Studzienki. Nie tam w żadnych melodramatach, ale w sensacyjnych filmach o dużej wartości ideowej, do których Kop wnosił element humoru dzięki swojej olbrzymiej skali mimicznej.

Studzienko rozglądał się więc uważnie po nadbrzeżu, poszukując wzrokiem zarówno ulubionego aktora, jak i damy wyrafinowanej o doskonałym obejściu, tak bowiem wyobrażał sobie powinowatą pana ministra. Walentego Kopa dostrzegł od razu. Rozdawał autografy i żartował z wielbicielkami, które otoczyły go ciasnym wianuszkiem. Wypatrzenie panny Tańskiej było trudniejsze. Studzienko nie miał pojęcia, jak wygląda. Znakomita większość osób spacerujących po nadbrzeżu zachowywała się dość swobodnie, tak jak owa roztrajkotana grupa z chartem, i kapitan wątpił, by powinowata ważnej figury pozwalała sobie na takie zachowanie, nawet będąc na wakacjach. Mocno wytężając wzrok, zidentyfikował wreszcie młodą kobietę o nieprzystępnym wyrazie twarzy. Nie wyróżniała się ani strojem, ani głośną manierą.

To musi być ona — zdecydował Studzienko.

Pasażerowie zaczęli powoli wchodzić po trapie. Podawali bilety kapitanowi, a ten, rzuciwszy dyskretnie okiem na wypisane na nich nazwiska, ściskał serdecznie dłonie i witał gości na pokładzie. Następnie przekazywał bilety stojącemu obok kontrolerowi, panu Hieronimowi Kobylcowi, który kasował je służbowymi szczypcami. Był to człowiek niezwykle wesołej natury, życzliwie usposobiony do świata i ludzi, toteż zagadywał pasażerów o pogodę i cel podróży,

co — ku irytacji kapitana — znacznie spowolniało abordaż.

— O, patrzy pan! — Telesfor Studzienko usłyszał za plecami wesoły głos Hieronima Kobylca. — Agentura nie przystawiła na bilecie pieczątki! Ale nic nie szkodzi, drogi panie! Zaraz bilecik ostemplujemy nazwą „Polonii", przybijemy datę i może pan spokojnie płynąć do Warszawy. A jak pan znajduje Ciechocinek? Bo powiem panu, że co tydzień tędy przepływam, a jeszcze nigdy nie byłem. Ot, nie składa się. Nie składa.

Telesfor Studzienko zamachał biletem kolejnego pasażera przed nosem Hieronima Kobylca, który strzelił wreszcie stemplem i uśmiechając się szeroko, wskazał pasażerowi gestem dłoni kierunek, w którym winien się udać.

Studzienko, mrużąc oczy, skupił wzrok na chudej damie, która wchodziła za hałaśliwą czwórką z chartem, w myślach układając powitanie dla szacownej ciotecznej wnuczki małżonki ministra Hardta. Nagle rudowłosa kobieta, krocząca na czele grupy, upuściła poobijane pudło na kapelusze. Potoczyło się pod nogi wchodzącej za nią szatynki, co sprawiło, że ta zatoczyła się i niemal wpadła do Wisły! Jednak towarzyszący im mężczyzna, ten z chartem na smyczy, wykazując się nadzwyczajnym refleksem, wychylił się ponad poręczą z liny i chwycił kobietę w talii, nim zdążyła krzyknąć.

— Toniu! Mam nadzieję, że wybaczysz mi, iż pośpieszyłem ci na ratunek — powiedział, ustawiając dziewczynę na trapie do pionu. — Wiem, że gardzisz szarmanckimi gestami. Wybacz, zareagowałem automatycznie!

— Dałabym sobie radę, Sándorze. — Rzeczona Tonia wyrwała się z jego objęć.

Mężczyzna puścił do niej oko i podniósł pudło na kapelusze.

Rudowłosa, zajęta przerzucaniem zawartości swojej torebki w poszukiwaniu biletu, nawet nie zauważyła rozgrywającej się za jej plecami dramatycznej sceny, którą sama sprowokowała.

— Witam serdecznie na pokładzie „Polonii", panno… panno… ech! — Studzienko zerknął na bilet, który wreszcie mu podała, i wyprostował się jak struna. — A niech to! Ależ pozory mylą! Panno Tańska! To dla nas prawdziwy zaszczyt! — Kwieciste powitanie, które sobie ułożył, wyparowało mu z głowy.

Frania była nieświadoma istnienia notesika z jej własnym nazwiskiem podkreślonym grubym czerwonym ołówkiem, toteż nagły entuzjazm wykazany przez kapitana wobec jej osoby przyjęła z zaskoczeniem. Uśmiechnęła się tylko i stanęła z boku, by w oczekiwaniu na zakończenie kontroli biletów przyjaciół nie blokować przejścia.

— O, szanowny panie, będzie dopłata za pieska! — Hieronim Kobylec przykucnął przy charcie, po czym zaczął delikatnie tarmosić go za uszy. — Grzeczny pies, bardzo grzeczny. Jak się wabi?

— Balaton.

— Wybornie. Czyli jak słodki akwen. Miałem kiedyś, proszę pana, konia, co go Ner nazywałem. Od rzeki Ner. Bo ja z Lutomierska jestem. I tak sobie jeździłem Nerem nad Ner. — Zaśmiał się. — A czy słusznie wnoszę, żeś pan jest Węgier, panie Bercsényi?

— Panie Kobylec! Proszę się z łaski swojej pospieszyć. — Telesfor Studzienko podał kontrolerowi bilet ostatniej osoby z kompanii panny Tańskiej, niezwykle eleganckiej drobnej blondynki o zachwycającej urodzie.

— Dobrze. To ja pana z pieskiem znajdę później, jak wypłyniemy, celem sfinalizowania dopłaty — powiedział wesoło Hieronim Kobylec i skinął na jednego z marynarzy kręcących się w pobliżu. — Stefan! Pierwsza klasa.

Rzeczony Stefan poprowadził ich po wyszorowanym do białości pokładzie ku przedniej części statku.

— Tu jest restauracja i salonik klasy pierwszej. Można z niego przejść do buduaru dla pań — powiedział, kiedy mijali pomieszczenie o olbrzymich

oknach, znajdujące się w środkowej części pokładu. — Tędy — odwrócił się i wskazał na schodki wspinające się po obu stronach usytuowanego bliżej czoła statku mostka kapitańskiego — wchodzi się na duży taras słoneczny. Teraz jest jeszcze bardzo gorąco, ale rano i wieczorem jest to wcale przyjemne miejsce, z którego można podziwiać piękno nadwiślańskiego krajobrazu. Mogą państwo również spacerować po pokładzie, warto zwłaszcza udać się na dziób. — Pokazał ręką kierunek. — Tam zawsze jest lekki wiaterek i widok lepszy nawet niż z pokładu słonecznego.

Cała czwórka pokiwała ze zrozumieniem głowami.

— Proszę tędy. — Stefan przeszedł przez dwuskrzydłowe drzwi z okrągłymi okienkami. — Uwaga na schody!

Zeszli na dół i znaleźli się w wąskim holu wyłożonym miękkim granatowym dywanem w pomarańczowy, geometryczny rzucik, bardzo *á la mode*, jak skonstatowała, krocząca tuż za Stefanem, Lola.

Było tu dość ciemno. Kilka kinkietów, bardzo zdobnych, wisiało na inkrustowanych ścianach, ale oświetlały jedynie krótkie odcinki korytarza. Mimo mroku wszystkie czternaście mosiężnych numerów zdobiących czternaście ciemnych drzwi było doskonale widocznych. Najwyraźniej polerowanie ich na wysoki błysk traktowano tutaj bardzo poważnie.

— Panie Tańska, Nowicka i Rońska oraz pan Bercsényi — oznajmił Stefan numerowej, po czym ukłonił się i oddalił krokiem dość ciężkim, typowym dla osób dobrze zbudowanych.

Rumiana dziewczyna, bardzo grzeczna w obejściu, zerknęła do kajecika z rezerwacjami i wskazała Węgrowi, na którego nie miała śmiałości spoglądać, kajutę. Jego pies natychmiast wskoczył na łóżko i począł mościć sobie legowisko ze śnieżnobiałej poduszki. Numerowa skrzywiła się, ale nic nie powiedziała. Dygnęła tylko i wyszła, by poprowadzić panie Nowicką i Rońską do jednej z trzech dwuosobowych kabin, a potem jeszcze upewniła się, że kajuta Franciszki Tańskiej, znajdująca się tuż obok, spełnia jej oczekiwania.

— Bardzo dziękuję. — Frania rzuciła pudło na kapelusze i niewielką podróżną torbę na łóżko. Reszta jej bagaży, łącznie ze sztalugami, została już złożona obok wąskiej szafy z ciemnego dębu, jeszcze zanim zdążyli wejść na pokład.

— No, no — mruknęła pod nosem. Jakże sprawnie wszystko było tu zorganizowane.

Musnęła palcami błyszczący blat stolika i podeszła do bliźniaczych kwadratowych okien. Otworzyła jedno z nich na oścież i zerknęła w dół. Wisła toczyła leniwie swoje szarozielone wody, z cichym pluskiem

odbijając się od burty unieruchomionej przy pomoście „Polonii”. Tuż obok kołysały się pałki wodne. Z ich gąszczu wychynęła samotna kaczka i ruszyła cierpliwie pod prąd.

Tak jak my — pomyślała Frania i zaciągnęła muślinową zasłonkę na okienko. I będziemy się pysznie przy tym bawić.

Gdyby tylko wiedziała, jak bardzo się myliła.

Rozdział I

w którym na pokładzie salonowego parostatku „Polonia” dochodzi do niezrozumiałego ataku na jednego z pasażerów klasy pierwszej

Włocławek

Do dworca portowego dotarła niemal w ostatniej chwili, dobrze po drugim sygnale. Była dwudziesta druga pięćdziesiąt pięć.

— Franiu! Tu jesteś! — Sándor objął ją ramieniem i poprowadził w kierunku wejścia na statek. — Martwiliśmy się.

— Przepraszam. Straciłam poczucie czasu.

— W katedrze? Było jeszcze o tej porze otwarte?

Nie odpowiedziała. Skinęła głową kapitanowi Studzience i kontrolerowi Kobylcowi, liczącemu pasażerów powracających na statek po postoju we Włocławku.

— A jak ten Stary Rynek? — zapytała.

— Wcale przyjemny. Franiu, spójrz na mnie? — Sándor pociągnął ją za łokieć i delikatnie obrócił ku sobie.

— Słucham cię, mój drogi.

— Czy wszystko w porządku? Wydajesz się jakaś…

— Jaka?

— Inna. Dlaczego do nas nie przyszłaś?

— Mówiłam ci już. Straciłam poczucie czasu.

— Franiu, wybacz. Ale trudno uwierzyć, że taka zdeklarowana ateistka jak ty mogłaby się zasiedzieć w kościele.

— Bardzo ładne renesansowe freski tam były — odpowiedziała, odwracając od niego spojrzenie. — Wybacz, pójdę się przebrać na dansing. — Wyswobodziła się z jego uścisku i zniknęła za drzwiami prowadzącymi na dół do kajut pasażerów.

— Oj, panie Bercsényi. — Hieronim Kobylec przysunął się do niego o dwa kroki. — Ja powiem panu jedno. W tej bazylice to nie ma żadnych fresków. Są polichromie. I nie renesansowe, ale współczesne. Panowie Jasińscy malowali. Czy ja wiem? Nie więcej jak dwadzieścia pięć lat temu.

Sándor westchnął i pokręcił głową.

— Pan idzie do baru. — Kontroler klepnął go w ramię. — Dansing się zacznie, jak tylko odbijemy. I pan się nie martw. Kobiety mają swoje tajemnice, zwykle to nic poważnego.

— Panie Kobylec! — Telesfor Studzienko się zniecierpliwił. — Bilety!

— Idę, już idę! — Zamachał służbowymi szczypcami. — Zresztą, jaki to sekret panna Tańska mogłaby mieć we Włocławku?

Spojrzenie Sándora spoczęło na obelisku stojącym na drugim brzegu Wisły. Pewnie, żadna tam tajemnica. Tylko przeszłość znowu nie pozwalała Frani cieszyć się teraźniejszością. Sándor zacisnął pięści. Ten cały Walenty Kop swoją głupią paplaniną przywołał do Frani duchy przeszłości. A niech go licho stepowe porwie!

Odezwał się gwizdek. Dłuższy niż ten, który wybrzmiał chwilę wcześniej. Koła parostatku wprawione w powolny ruch poczęły wyrzucać w powietrze mgłę wiślanej wody. „Polonia" z cichym pluskiem odbiła od brzegu i skierowała się na południe, pozostawiając za sobą światła Włocławka.

Między Włocławkiem a Dobrzyniem

Sándor, ubrany w ciemny garnitur, wszedł wraz z Balatonem do restauracji klasy pierwszej i omiótł wnętrze wzrokiem. Załoga otworzyła duże dwuskrzydłowe drzwi, które dotąd pozostawały zamknięte. Kryły się za nimi trzy schodki prowadzące nieco niżej, na wyłożony brzozowymi deskami parkiet. Był wyczyszczony na błysk, ale mimo to widać było, iż jest nieco

podniszczony, bez wątpienia przez podskakujących tu w rytm charlestonów czy improwizujących lindy hopy pasażerów. Sándor nie widział orkiestry usadowionej niżej w barze klasy drugiej, ale doskonale słyszał, że stroją instrumenty. Uśmiechnął się zadowolony. Podróż parostatkiem niewątpliwie miała swoje uroki.

Przy barze na wysokim stołku siedziała, kusząco eksponując nogi, Aniela Złotnik. Paliła papierosa w długiej fifce z onyksu i rzucała rozbawione spojrzenia na Papuzińskich, którzy obserwowali przez otwarte drzwi pasażerów z niższego pokładu zbierających się na wieczorne tańce i głośno komentowali ich zachowanie oraz ubiór. Sándor podszedł do baru, skinął na powitanie głową Anieli i poprosił o szampana.

Pan Antoni Kresoń, drobny człowiek o zmęczonych, zielonych oczach, odziany w przepisową ciemną kamizelkę w białe pionowe pasy, kontrastującą z jasną koszulą, pełnił na „Polonii" funkcję barmana i kelnera. Poinformował Sándora, że z szampanów dostępny był tylko ten z winnicy Luis de Bary. Sándor zmarkotniał. Było to tanie wino musujące, sprowadzane do Warszawy, bodajże z Reims, w beczkach. Butelkowano je już w Polsce, w piwnicach, które ostały się z zamku warownego zburzonego w czasie wojen ze Szwedami, stojącego ongiś w miejscu, gdzie teraz biegła ulica Tamka. I choć ten proceder nie różnił się zasadniczo od jego

własnego modus operandi względem win ściąganych w beczkach z rodzimej winnicy w Tokaju, to Sándor patrzył na szampany Luis de Bary krzywym okiem. O ile bowiem leżakowanie tokajów w jego warszawskiej piwnicy podyktowane było dbałością o jakość wina, jakiej nie sposób było osiągnąć, pozwalając im dojrzewać nad Bodrogiem, i wynikało z kilkusetletniej polsko-węgierskiej tradycji, o tyle szampany z Reims były ściągane w beczkach wyłącznie po to, by zaoszczędzić na cle! Mało tego, właściciel składu win przy Tamce najwyraźniej uważał, że jest to powód do dumy, i bez skrępowania wspominał o tym w towarzystwie i podczas branżowych spotkań. Do tego ten smak! Wcale nie był pierwszorzędny.

Sándor powstrzymał pana Antoniego gestem. Nie miał w zwyczaju pić taniego szampana.

— Reflektuję zatem na wodę sodową z sokiem malinowym i kropelką wódki ziemniaczanej, byle od pana Barczewskiego.

W salonie restauracyjnym zjawiła się Lola. Usiadła obok niego na wolnym stołku barowym i ziewnęła dyskretnie.

— Zmęczona? — zapytał Sándor.

— Trochę, ale mam szaloną ochotę potańczyć. Taki mamy piękny wieczór — powiedziała i zamówiła mazagrana.